



■ „America First” - Trump o amerykańskiej polityce zagranicznej

Jadwiga Kiwerska

Nie ma wątpliwości, tegoroczne wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych mogą przesądzić o przyszłej roli Ameryki w świecie. Z taką sytuacją w przeszłości nieczęsto mieliśmy do czynienia. Szukając analogii, można by odwołać się aż do 1920 r., gdy to - podobnie jak dzisiaj - zdecydowano o charakterze amerykańskiej polityki zagranicznej, czy będzie to utrzymanie kierunku wytyczonego przez Woodrowa Wilsona - zaangażowania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, czy nastąpi powrót do izolacjonizmu przez dziesięciolecia dominującego w amerykańskich relacjach ze światem, a zwłaszcza z kontynentem europejskim. Ameryka wybrała wówczas Warrena G. Hardinga, kandydata Partii Republikańskiej, który głosząc hasło „America First”, zapowiadał odwrót od Europy/świata i ponowne skupienie się na polityce wewnętrznej oraz dbałość o wyłącznie amerykańskie interesy. Ten wybór określił na następne dwie dekady amerykańską politykę zagraniczną, wyraźnie podporządkowaną zasadzie izolacjonizmu.

Dopiero II wojna światowa oraz dynamika zmian na arenie międzynarodowej po jej zakończeniu spowodowały, że Stany Zjednoczone przyjęły pierwszoplanową rolę w kształtowaniu sytuacji na świecie. Odwrotu od polityki zaangażowania już nie było. Kolejne wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych potwierdzały ważną rolę Ameryki na scenie światowej. Wprawdzie zmieniały się niektóre cele i priorytety, ewoluowały metody ich osiągania, ale zasadniczy kierunek polityki zagranicznej był kontynuowany. Nawet jeśli ubiegający się o najwyższy urząd w państwie kandydaci zapowiadali ograniczenie aktywności w świecie, to gdy już zasiedli w Białym Domu i zetknęli się z rzeczywistością międzynarodową, starali się - bardziej lub mniej skutecznie - pełnić rolę światowego przywódcy. Tak było w przypadku Williama J.

Redakcja:

Radostaw Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 240/2016
06.05.16

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

Clinton, który szedł do wyborów z hasłem „It’s economy, stupid!”, nawiązującym do sloganu Hardinga z 1920 r., oraz z George’em W. Bushem jr., który zapowiadał skromną (*humble*) politykę zagraniczną. Obaj jednak, poddani presji wydarzeń międzynarodowych, stosunkowo szybko korygowali swoje założenia i zamiary. W rezultacie od Franklina D. Roosevelta po Baracka Obamę to właśnie Stany Zjednoczone - bardziej lub mniej - dominowały na arenie międzynarodowej.

Dzisiaj jesteśmy w sytuacji, gdy ten utrwalony przez ponad 70 lat porządek może ulec zmianie. I nie chodzi tylko o to, że może być on zakwestionowany w świecie, przecież problem z amerykańskim przywództwem istnieje już od wielu lat. Ameryka musi funkcjonować w świecie, gdzie mamy dyfuzję wielu sił i ośrodków władzy, konkurencyjnych wobec niej i zdecydowanie podważających jej pozycję. Wyraźnie też osłabła zdolność (i wola) Ameryki kreowania sytuacji międzynarodowej oraz rozwiązywania problemów globalnych. Stwierdzenia o bliskim już poamerykańskim świecie pojawiają się równie często, jak opinie o niezbędności tego przywództwa.

Wyjątkowość dzisiejszej sytuacji polega jednak na tym, że podobnie jak to było w 1920 r., bardzo wiele zależeć będzie od samych Amerykanów - od podjętej przez nich w listopadzie decyzji wyborczej. Staną bowiem prawdopodobnie przed wyborem między bardziej pragmatyczną i przewidywalną polityką zagraniczną (co nie znaczy, że doskonałą), realizowaną przez Hillary Clinton, a trudnymi do przewidzenia konsekwencjami postawienia na politykę pełną swego rodzaju bufonady i dość mgliście - w najlepszym przypadku - określonych sposobów jej realizacji. Takie bowiem wrażenie można odnieść, słuchając wystąpienia Donalda Trumpa w *Center for the National Interest* (27 IV 2016 r.).

Należało się spodziewać, że prezentacja wizji polityki zagranicznej zaproponowana przez prawie już pewnego kandydata Partii Republikańskiej do urzędu prezydenckiego będzie tyle ciekawa dla ekspertów, co i atrakcyjna dla jego wyborców. Że przyniesie pogłębioną odpowiedź na wiele pytań, które dzisiejszy świat stawia przed przyszłym gospodarzem Białego Domu. Zwłaszcza że dotychczas ten ekscentryczny kandydat Republikanów stosunkowo niewiele mówił o polityce zagranicznej. A to, co się pojawiło, wywoływało zażenowanie u wielu Amerykanów, zaś u społeczności międzynarodowej rodziło silne obawy. Tymczasem otrzymaliśmy przekaz, który razi z jednej strony arogancją, z drugiej zaś - naiwnością oglądu sytuacji międzynarodowej. Trudno więc nie zgodzić się z opinią, że nowojorski multimilioner nikogo nie zaskoczył, raczej rozwinął ten styl narracji i argumentacji, który dotychczas prezentował, starając się właśnie w taki sposób zdobyć wyborców.

Nie ma wątpliwości, jego przemówienie skierowane było przede wszystkim do przeciętnego amerykańskiego wyborcy, w żadnym przypadku nie mało na celu zyskać akceptacji amerykańskiego establishmentu politycznego lub ekspertów od polityki zagranicznej. Był to prosty, jasny przekaz, atrakcyjny dla wielu Amerykanów, ale zawierający wiele groźnych akcentów, które mogą zaważyć na roli Stanów Zjednoczonych w świecie i tym samym na sytuacji międzynarodowej.

Powab wystąpienia Trumpa polegał m.in. na tym, że stosunkowo trafnie zdiagnozował on niewątpliwe słabości polityki zagranicznej administracji Obamy, powtarzając zresztą zarzuty wysuwane od dłuższego już czasu przez Republikanów. Jakkolwiek

przesadą było stwierdzenie, że polityka zagraniczna ery Obamy to całkowita i kompletna katastrofa („Our foreign policy is a complete and total disaster”), pozbawiona wizji, celów, kierunku i strategii. Wszakże argumenty służące poparciu tej tezy wydają się bardzo sugestywne i z pozoru słuszne. Ubiegający się o Białe Dom kandydat przywoływał przykłady niepowodzeń amerykańskiej polityki zagranicznej ostatnich ośmiu lat, dowodząc, że błędy popełnione w Iraku, Libii, Syrii doprowadziły do powstania i wzmocnienia „Państwa Islamskiego”, zaś nierozważne działania wobec wrogów oraz mało wiarygodna polityka wobec przyjaciół podważyły autorytet Stanów Zjednoczonych. Co ciekawe, w tym kontekście wymieniona została Polska oraz Republika Czeska jako państwa, które administracja Obamy zawiodła, odrzucając wynegocjowane wcześniej umowy o instalowaniu elementów „tarczy antyrakietowej”.

Z kolei stawiając na przeciwległych biegunach Izrael, jako zdradzonego przez obecną administrację przyjaciela, oraz Iran, traktowany przez Obamę w sposób wyjątkowy („with tender love and care”), dzięki czemu w krótkim czasie stał się on potęgą, Trump uderzył w niezwykle czuły punkt amerykańskiej tożsamości i amerykańskich interesów. Podobne znaczenie miało przywoływanie w jego wystąpieniu Chin, których konkurencji gospodarczej i politycznej administracja Obamy - zdaniem Trumpa - nie zdołała powstrzymać. Nic też nie działa tak silnie na świadomość przeciętnego wyborcy w Stanach Zjednoczonych, jak stwierdzenie, że Ameryka straciła biliony dolarów na realizację celów polityki zagranicznej, ale owych celów nie tylko nie osiągnęła, ale doprowadziła do pogorszenia sytuacji w świecie. Najlepszym tego przykładem jest właśnie Bliski Wschód („After losing thousands of lives and spending trillions of dollars, we are far worst shape in the Middle East than ever, ever before”).

Zresztą - jak twierdzi pretendent do Białego Domu - zasoby amerykańskie w okresie urzędowania Obamy zostały mocno nadwerężone, a osłabienie gospodarcze spowodowało spadek potencjału militarnego Ameryki. I tutaj Trump ponownie wraca do wielokroć już przez siebie podnoszonej kwestii nierównego wśród sojuszników podziału kosztów w ramach wspólnej polityki bezpieczeństwa, zarzucając im, że nie chcą w odpowiednim stopniu łożyć na własną obronę. Problem to nienowoty i w tym sensie, że od pewnego już czasu komplikuje relacje transatlantyckie. O wywiązanie się państw członkowskich NATO z obowiązku przeznaczenia przynajmniej 2 proc. PKB na obronność apelowali przedstawiciele amerykańskiej administracji od dawna. Nikt jednak dotychczas nie stawiał sprawy tak jednoznacznie, jak Trump. Republikański kandydat nie pozostawiał złudzeń: „Kraje, których bronimy, muszą płacić za tę obronę. W przeciwnym razie Stany Zjednoczone nie będą miały wyboru i tę obronę pozostawią w ich gestii”.

Z pozoru takie stawianie sprawy wydaje się logiczne i dlatego mogło spotkać się z akceptacją, wręcz z głośnym aplauzem słuchaczy/amerykańskich podatników. Z drugiej strony nie można jednak zapomnieć choćby o wyjątkowej roli Stanów Zjednoczonych w NATO/świecie i pewnych zobowiązaniach, które wiążą się z amerykańskim przywództwem. Globalne interesy Stanów Zjednoczonych i ich globalne zobowiązania pociągają też większe koszty. Jeśli więc w innych fragmentach swojego wystąpienia Trump podkreśla, że chodzi mu o silną, godną zaufania i wiarygodną dla sojuszników Amerykę („To our friends and allies, I say America is going to be strong again. America is going to be reliable again”), to trudno nie dostrzec w tym zasadniczej sprzeczności.

Tym bardziej że wcześniej oskarżył administrację Obamy o zdradę interesów sojuszników i nadwerżenie wiarygodności Ameryki. Tymczasem jego zapowiedzi są naprawdę zatrważające dla europejskich sojuszników. Podobnie jak groźna dla bezpieczeństwa Europy może być zapowiedź budowania NATO niemalże od nowa.

Zresztą takich sprzeczności w zaprezentowanej przez Trumpa wykładni polityki zagranicznej jest wiele. Już samo użycie przez republikańskiego kandydata hasła „America First” jako głównego wyznacznika jego polityki zagranicznej („America First will be the major and overriding theme of my administration”) stanowi wyraźne nawiązanie do sloganu izolacjonistów amerykańskich z lat 20. i 30. XX w. oraz ma zdecydowane konotacje populistyczne. Dowodzi tego również podkreślenie, że to amerykański interes będzie zawsze stawiany na pierwszym miejscu. Dlatego - zapowiada Trump - Ameryka nigdy nie wejdzie w układy, które mogłyby ograniczyć jej suwerenność, niepotrzebnie uwikłać w zależności (jako przykład negatywny służy NAFTA).

Nietrudno przewidzieć, jaki to wszystko może mieć wpływ na pozycję Ameryki w świecie, sytuację międzynarodową, *last but not least* na Europę. Trzymanie się Stanów Zjednoczonych z dala od spraw i problemów międzynarodowych tylko dlatego, że nie jest to związane z ich żywotnym interesem, nie będzie służyło porządkowi międzynarodowemu. Jeśli zatem rozumieć hasło „America First” w jego pierwotnym izolacjonistycznym znaczeniu, to może to być groźne dla świata znajdującego się dzisiaj w tak trudnej sytuacji.

Nie należy jednak wykluczyć, że „America First” to synonim „Make America great again”, będącego głównym hasłem kampanii wyborczej Trumpa. Bo przecież w innym miejscu swojego wystąpienia dowodzi, że chce budować silną pozycję Ameryki w świecie, chce przywrócić jej respekt i uznanie. Albo że stworzy spójną politykę zagraniczną, opartą na amerykańskim interesie oraz uwzględniającą interes sojuszników. Przyjmijmy więc, że jest to tylko kolejna sprzeczność w wystąpieniu kontrowersyjnego pretendenta do urzędu prezydenckiego i nie chodzi o powrót do izolacjonizmu, a jedynie działanie na świadomość wyborców, których epatuje się hasłem, że „Przede wszystkim Ameryka”.

Tak jak w wystąpieniu pojawiło się wiele sprzeczności, tak samo wiele było charakterystycznej dla Trumpa arogancji i bufonady. „Moim celem jest wypracowanie takiej polityki zagranicznej, która przetrwa kilka pokoleń” - zapowiedział dumnie. Wielokrotnie zapewniał, że jest jedynym, który może podołać wyzwaniom: „I’m the only one - believe me, I know them all, I’m the only one who knows how to fix it”. I dalej: „ISIS will be gone if I’m elected president”. Ale wyznaczając jako swój główny priorytet powstrzymanie radykalnego islamu, jedynie enigmatycznie określa środki działania: „Być może trzeba będzie użyć siły zbrojnej, co nie wyklucza wysiłków filozoficznych (sic!)”.

Dla wielu problemów i wyzwań współczesności kandydat do Białego Domu znajduje proste i łatwe rozwiązania, co najprawdopodobniej wynika z jego nadmiernej pewności siebie. Odnosi się to zarówno do stosunków z Chinami, które - dowodzi Trump - mogą być dobrymi przyjaciółmi Ameryki, jaki i relacji z Rosją. Uparcie powtarza swą myśl, że Rosja nie musi być adwersarzem Stanów Zjednoczonych, że trzeba tę wrogość jak najszybciej zakończyć („his horrible cycle of hostility must end and

ideally will end soon. Good for both countries”). Nie stawia przy tym żadnych warunków ani nie czyni żadnych zastrzeżeń, z wyjątkiem tego oczywistego - jak się nie uda, to „odejdziemy od stołu”. Są to zapowiedzi dość groźne, zwłaszcza dla tych sojuszników i partnerów Ameryki, którzy mają nieporównywalnie większe doświadczenie w relacjach z Rosją i nie podzielają takich pełnych naiwności opinii na jej temat.

Można wprawdzie założyć, że proponowana wizja amerykańskiej polityki zagranicznej jest tylko i wyłącznie wyborczym przekazem, stąd jej dość kuriozalny dla specjalistów, ale momentami powabny dla wyborców charakter, natomiast po wprowadzeniu się do Białego Domu nowy prezydent zacznie realizować bardziej sensowną strategię. Trzeba jednak zadać pytanie, czyje to będą koncepcje, kto znajdzie się wśród doradców prezydenta Trumpa. I w tym punkcie pretendent do prezydentury przeraża, zapowiadając, że szuka zupełnie nowych ludzi, czyli bez doświadczenia, bo „the old people frankly don't know what they're doing”.

Trzeba mieć nadzieję, że zorganizowany w ten sposób i wedle takich kryteriów sztab nie będzie miał okazji do wpływania na amerykańską politykę zagraniczną. W przeciwnym razie, może być groźnie.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i Collegium Da Vinci w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.